

Fukushima Daiichi. Problemy w nowej rzeczywistości

15 września 2016

Z powodu wybuchów reaktorów w elektrowni jądrowej Fukushima Daiichi ewakuowano 120 tysięcy ludzi. Od ponad pięciu lat próbują zbudować życie w nowej rzeczywistości, w której to jednak zepsuta elektrownia ciągle jest głównym punktem odniesienia. Z jakimi problemami muszą się mierzyć i w jaki sposób to robią?

CZY TO, CO JEM, JEST BEZPIECZNE?

– Standardy mamy ostrzejsze niż rząd – mówi mi Tomiko Watanabe. – Oni dopuszczają 100 bekereli cezu radioaktywnego na kilogram jedzenia. My tylko 20. Wszystko, co podajemy sprawdzamy same. Chcemy, żeby ludzie, którzy przychodzą do nas na lunch mieli pewność, że jedzą zdrowo.

W prefekturze Fukushima rolnicy mają obowiązek testowania produktów zanim te zostaną dopuszczone do sprzedaży. Bada się ziarna ryżu, ryby, marchewki, cebule, jabłka, mięso. Ale mieszkańcy prefektury i tak zakładają niezależne punkty pomiarów, do których można przynieść kupione w supermarkecie warzywa i owoce. Ludzie nadal nie ufają rządowym testom. Badają wszystko – od morskiej wody po kurz z odkurzacza. To dlatego Tomiko ustawiła tak wysokie limity dla gotowanego przez siebie jedzenia. Kachan no chikara szykuje szkolne lunche dla dzieci i prowadzi niewielką kawiarnię, w której często zatrzymują się robotnicy czyszczący ziemię w Fukushimie.

Tomiko Watanabe ma 62 lata. Kiedy miała 19 lat, jej siostra przedstawiła jej Fukuoko – postawnego mężczyznę zajmującego się budowlanką. Pochodził z niedużej wioski Iitate, położonej w górzystej części prefektury Fukushima. Już na pierwszym spotkaniu podjęli decyzję o ślubie. Dwa lata później Tomiko

przyjechała za mężem do wioski. To piękne miejsce. Las, góry, strumienie. Ludzie niezbyt bogaci, ale kiedy czegoś im brakowało wymieniali się z sąsiadem tym, czego mieli w nadmiarze. Tradycyjna wioska, w której kobieta szła zawsze kilka kroków za mężczyzną. Kiedy w 1989 roku miejscowe władze wprowadziły dziesięcioletni projekt aktywowania ludzi, Tomiko postanowiła aktywować kobiety. Założyła „Wiatr Młodych Żon”. Pojechały do Europy uczyć się o nowych technologiach w rolnictwie. Wróciły i założyły niewielką przetwórnię. Promowały jedzenie z Iitate. Pikłowały, gotowały, robiły ciasteczka i mieszanki curry. Mężczyźni na nie narzekali, a już najbardziej na Tomiko. Przyjechała z zewnątrz, to nie ma prawa się odzywać. Bali się zmiany tradycyjnych japońskich przyzwyczajeń. A mąż Tomiko? Bez niego nie dałaby rady. Wspierał ją we wszystkim.

Jednak najważniejsza zmiana w życiu Tomiko nastąpiła w 2005 roku. Wtedy poznała pana Sugano, który tworzył nowe gatunki warzyw odpornych na zimno. Iitate leży w górach, pięćset metrów nad poziomem morza. Zimy są ostre, wiosną i jesienią zdarzają się przymrozki, które zabijają ryż. Nowa dynia, „dynia z Iitate”, pochłonęła Tomiko bez reszty. W ciągu pięciu lat stworzyła słodkie warzywo o lepkiej konsystencji i bardzo pomarańczowym kolorze. 11 marca 2011 roku przyszedł list z biura patentów – oficjalne potwierdzenie i numer. „Dynia z Iitate” została uznana za markę.

Ale o 14:46 zatrzęsała się ziemia.

Dzisiaj Tomiko przewodniczy organizacji Kachan no chikara, która zrzesza matki gotujące obiady. Zaczęły od pikłowania hodowanych przez siebie warzyw – chciały mieć pewność, że to co podają do jedzenia swoim rodzinom jest bezpieczne: same sadziły, same zbierały i same przetwarzały jedzenie. – To byłoby takie proste: poddać się, biernie czekać – mówi Tomiko. – Ale wtedy kto rozwiązywałby nasze problemy? Nie chcemy, żeby tradycja z Iitate umarła, nawet jeśli do Iitate nie możemy już wrócić.

Tomiko na stałe przeniosła się do miasta Fukushima – stolicy regionu. Jej wioska leży w ewakuowanej strefie, nie wolno tam mieszkać. Ludzie mogą wjeżdżać do środka na osiem godzin w ciągu dnia. Mówi się, że kiedy w 2017 roku ziemia zostanie oczyszczona, mieszkańcy znowu będą mogli żyć jak dawniej. Tylko że lasu już się nie czyści – a czy Iitate bez lasu to będzie to samo Iitate? Tomiko rzadko odwiedza to miejsce. Ogród przy jej domu zarósł, chwasty są wyższe od niej samej. Pod miastem kupiła kawałek pola. Sadzi na nim „dynię z Iitate”. Choć nasiona są te same, to jednak nie ta ziemia, nie te warunki – dynia ma inny smak. Więc czy to nadal dynia z Iitate? – pytam. Tomiko kręci głową. W oczach pojawiają jej się łzy.

CZY UDA SIĘ POGODZIĆ PODZIELONYCH?

Pan Satoru Mimura zabiera mnie do restauracji, gdzie podają produkty z Fukushimy. Jest dumny z tego, co ta ziemia ma do zaoferowania. Najpierw będzie tofu z fasolką. Obok, w małej glinianej miseczce, cienkie paski marchewki ze smażonymi kałamarnicami – kałamarnice są wielkości połowy kciuka, fioletowe w różowe plamki. Sprężyste mięso i chrupiąca marchewka dobrze się uzupełniają. Na kolejnym talerzyku młode węgorki, nie większe od paznokcia, tutejszy przysmak ugotowany na parze z roztrzepanym jajkiem i warzywami.

Pan Mimura to spec od zarządzania katastrofami. Kiedy gdzieś się trzęsie, wsiada razem z ekipą ratowniczą do samolotu. Pod gruzami szukają ludzi, opatrują rannych, stawiają prowizoryczne schrony – od słońca, od deszczu. 11 marca 2011 roku był w Christchurch w Nowej Zelandii. Kilka tygodni wcześniej ziemia zatrzęsała się tam z magnitudą 6,3. Tsunami widział w telewizji. 12 marca był w Tokio. 13 marca przyjechał na północ Japonii jako wolontariusz. Od 2011 do 2015 roku był doradcą w specjalnie utworzonej jednostce FURE na Uniwersytecie Fukushimy. To Centrum Przyszłości Fukushimy na rzecz Regionalnej Rewitalizacji.

Na restauracyjnej serwetce z mapą Fukushima zaznaczamy miejsca, o których rozmawiamy. Zaczynamy od wybrzeża na północnym wschodzie. To Minamisōma, miasto które było spowinowacone z klanami z północy. Dokładnie po drugiej stronie mapy, w zachodniej części prefektury, jest Aizu. Od nadmorskich miast oddzielają je dwa górskie pasma i 130 kilometrów. Oni zawsze wspierali Tokugawów. Aizu i Minamisōma to dwie wrogie sobie kultury, różniące się dialektem. Nie mogą się dogadać! A po wybuchu wielu tych z wybrzeża musiało przenieść się właśnie do Aizu. Nie czują się tam dobrze.

To pierwszy problem z długiej listy pana Mimury.

Przesuwamy się wzdłuż wybrzeża na południe. Futaba i Ōkuma, miasta na granicy których stoi elektrownia Fukushima Daiichi. Tutaj pensje przed 2011 rokiem były takie same jak w Tokio. A jeśli cofnąć palec w górę i trochę w lewo, do miejsca wciśniętego między Minamisōmę i miasto Fukushima – stolicę regionu – to trafimy na Iitate, gdzie pensje były trzy razy niższe. Ale za to niezwykła kultura wymiany sprawiała, że ludzie nie kupowali warzyw, owoców ani ryżu w sklepach. Nie musieli – wymieniali się tym, czego mieli w nadmiarze. Teraz czują się wykorzeleni. Zrozpaczeni. I wściekli.

Nigdy nic od elektrowni nie dostali, nie czerpali z niej żadnych korzyści. Ponoszą konsekwencje nie ich katastrofy.

Kolejny problem pojawia się przy drugim daniu (sushi z makreli, warzywa w tempurze). Iwaki. Duże miasto na południe od zepsutej elektrowni. Część leży na wybrzeżu – tam ludzie dostali odszkodowania za domy zniszczone przez tsunami i za przymusową ewakuację z powodu promieniowania. Centrum miasta leży daleko od wybrzeża, a także ponad 20 kilometrów od elektrowni. Tam pieniędzy nie dano – tsunami ich nie dotknęło, promieniowaniu gdzieś trzeba było postawić granicę. Rząd zdecydował: 20 kilometrów.

– Dzisiaj wiemy, że nawet dalej na południe, w dwóch prefekturach pomiędzy Fukushima a Tokio też jest

promieniowanie – mówi pan Mimura nad miseczką ryżu ze spieczoną od dołu skórką (to okage – każdy chce mieć fragment chrupiącej skórki w swojej miseczce). – Ale nikt tego nie bada. Jeśli pokażą Japonii, że martwią się o bezpieczeństwo warzyw i owoców, będą mieć te same problemy, co Fukushima: nikt nie będzie chciał kupować produktów z etykietką z ich prefektury. Tak jak to się dzieje w Aizu, w którym rośnie jeden z najlepszych gatunków ryżu w Japonii. I choć ziemia nie została napromieniowana (od elektrowni Aizu oddzielają dwa górskie pasma przypomina pan Mimura), to ceny są trzy razy niższe niż w sąsiedniej prefekturze. Bo Aizu to Fukushima. A nazwa „Fukushima” została skażona.

O to, co pana Mimurę zaskoczyło przez cztery lata jego pracy tutaj, pytam przy deserze (truskawki z kremem z migdałów popijane sake). – To jak pomoc może zepsuć człowieka. Rozpuścić. Zamienić w kogoś, kto tylko żąda kolejnych przywilejów bijąc po oczach swoim statusem ofiary. Niektórzy nie chcą wychodzić z tej roli. Wolą dostawać pieniądze od TEPCO, właściciela elektrowni, niż wziąć się do pracy. Stają się leniwi, dni spędzają przed telewizorem albo na zakupach. Podobno niektórzy dostają kilka tysięcy dolarów miesięcznie. Nie muszą nic robić. Ich dzieciom też się nic nie chce. Biorą przykład z rodziców.

– Ale katastrofa to było też niezwykle wyzwolenie potencjału – dodaje zaraz pan Mimura. – Ludzie dostali pieniądze i zaczęli organizować, urządzać, zakładać, odbudowywać, otwierać, zmieniać, działać. A przecież przed 2011 każdy chciał stąd uciec do Tokio. Dzisiaj to inne prefektury zazdroszczą Fukushimie. Taka Okayama ma ten sam problem: kurczy im się populacja, młodzi uciekają do większych miast. I nie mają zastrzyku pieniędzy, żeby tę sytuację zmienić.

Prawda jednak jest taka, że żadne pieniądze nie zwrócą tego, co stracili. – Tutaj, na północy Japonii, ludzie siedzą na historii – mówi pan Mimura. – Tracą nie tylko ściany i dach. Tracą coś co ich tworzyło: tradycję, rodzinną ciągłość. Ich

dzieci przecież już nie będą tu mieszkać.

CZY MOJE DZIECI SĄ BEZPIECZNE?

W prefekturze Fukushima są dzieci, które nie wychodzą bawić się na podwórko i nie skaczą w deszczu przez kałuże. Są dzieci, którym matki zabroniły w szkole picia mleka i są przedszkolaki, które bawią się w piaskownicach zbudowanych wewnątrz budynków. Rodzice wolą nie ryzykować. Ich strach ogranicza dzieciństwo do czterech ścian. Każę uszczelniać drzwi i okna, a zakupy w supermarkecie zamieniam w obłąd liczenia bekereli.

Do niedawna tak właśnie żyły córki pani Ito[1]. Pani Ito ma 39 lat, nie chce podać nazwiska ani zawodu. Szczęśliwa matka dwójki dzieci, razem z mężem prowadziła sklepik w największym mieście prefektury – Kōriyamie. W dniu wybuchu mąż pani Ito powiedział: „zabierz dzieci i jedź”. Jedna córka miała wtedy pięć lat, druga – roczek. Do rodziców w Tokio pani Ito jechała taksówką dwanaście godzin. Niedługo potem dostała informację ze szkoły, do której miała chodzić jej starsza córka – zaczyna się rok szkolny, proszę wracać. Taką informację dostało wielu rodziców, którzy dobrowolnie ewakuowali się z zagrożonych terenów. Rząd zapewniał, że nie ma natychmiastowego niebezpieczeństwa. Mąż pani Ito też powtarzał: „tu już jest bezpiecznie”. – Ale kiedy w dniu rozpoczęcia szkoły widziałam moją córkę, która z plecakiem i maską na twarzy stała pośrodku tego całego promieniowania, nie mogłam przestać myśleć: „na boga, co myśmy zrobili”, do dzisiaj tego żałuję – wyznaje pani Ito.

Przestała otwierać okna, nie pozwalała dzieciom wychodzić na zewnątrz. Przemieszczała się tylko samochodem, na zakupy jeździła do miast położonych po drugiej stronie gór, byle dalej od elektrowni. Pożyczyła licznik Geigera. 4 mikrosiwerty na godzinę w ogrodzie, 1.73 w domu. Na świecie za bezpieczne uznaje się wartości w okolicach 0,1 $\mu\text{Sv/h}$, ale rząd wydał nowe wytyczne – bezpieczne jest wszystko do 2,3 $\mu\text{Sv/h}$. Pani Ito na

własny koszt usunęła ziemię z ogrodu i wyczyściła ściany domu. Promieniowanie spadło do 0,3 $\mu\text{Sv/h}$. Pani Ito przeniosła się z córkami do Niigaty, do sąsiedniej prefektury. Jej mąż został w Kōriyamie. Spotykają się w weekendy.

Takich rozdzielonych rodzin jak ta Pani Ito, jest więcej. Matki ze smutkiem mówią, że wybierają pomiędzy zdrowiem dzieci a ich szczęściem. A te dwie rzeczy nigdy nie powinny być przeciwstawne. Promieniowanie niszczy nie tylko geny ale również relacje między ludźmi.

W lokalnych gazetach piszą, że u 115 dzieci na około 300 tysięcy przebadanych zdiagnozowano raka tarczycy. To co najmniej dwadzieścia razy więcej niż normalnie. Rak tarczycy pojawia się u kilku dzieci na milion. Być może to efekt bardzo dokładnych badań, które przeprowadza się co roku na wszystkich dzieciach do 19 roku życia. Lekarze mówią, że jest za wcześnie, żeby te wyniki łączyć z promieniowaniem.

Pani Ito nie ma zamiaru wracać.

CO Z TYM DYMEM?

Panią Wadę ostatnio bardzo interesują śmieci. Kiedy w 2001 roku przeprowadzała się z Tokio do niewielkiej miejscowości Hanawa, w południowej części prefektury Fukushima, nie sądziła, że po dekadzie odpady będą treścią jej życia. Piętnaście lat temu zostawiła pracę w organizacji pozarządowej i razem z mężem założyli własną piekarnię. Szukali niespiesznego życia. W nowym domu razem z nimi zamieszkało pięć psów, pięć kotów i dwie kozy. Po wybuchu od razu pojechali do Tokio. Ale dość szybko wrócili, promieniowanie w Hanawie było niższe niż w niektórych miejscach w stolicy. Problem promieniowania dotknął ją dopiero kiedy odkryła, że dwa kilometry od jej domu (choć już w sąsiednim mieście – Samegawa) zbudowano eksperymentalną spalarnię na radioaktywne śmieci. Mieszkańcy Hanawy nie zostali poinformowani o planowej budowie i o tym, że w ich okolicy będą palone skażone śmieci.

Zresztą granicę rozumienia tego, czym jest skażenie również przesunięto: do 8000 bekereli na kilogram śmieci traktuje się, jak zwykłe domowe śmieci. Do 100 tysięcy Bq/kg zakopuje się je w tych samych miejscach, co inne niebezpieczne odpady. Powyżej 100 tysięcy przetrzymuje się je w specjalnym tymczasowym składzie. O tym, co z nimi zrobić, zdecyduje się w przyszłości. – Ale elektrownie jądrowe, nawet Fukushima Daiichi mają inne standardy niż te rządowe – tłumaczy pani Wada. – Wszystkie odpady z elektrowni powyżej 100 Bq/kg (stu! Nie stu tysięcy) są palone, pakowane do metalowych beczek i wysyłane do centrum składowania nuklearnych odpadów w wiosce Rokkasho na północy wyspy Honsiu. Tymczasem, zgodnie z nowym rozporządzeniem Ministerstwa Środowiska, śmieci z Fukushimy są bezpieczne do 8000 Bq/kg. Tłumaczą to tak: do 100 Bq/kg mogą zostać użyte ponownie, do 8000 Bq/kg można się ich bezpiecznie pozbyć. Ale co to za tłumaczenie?

W całej prefekturze Fukushima buduje się (bądź już zbudowano) 24 spalarnie na radioaktywne śmieci. Te nowe mają specjalne filtry, które zatrzymują promieniowanie. Kiedy spali się wszystkie śmieci spalarnie zostaną rozebrane. Są tymczasowe. Mieszkańcy nie przestają pytać – po co nam 24 spalarnie, które będą działały przez dwa, góra trzy lata? Koszty budowy jednej spalarni sięgają od 700 milionów jenów (26 milionów złotych) do 25 miliardów jenów (941 milionów złotych). Koszt wszystkich szacuje się na 400 miliardów jenów (15 miliardów złotych).

Pieniądze to jedno, ale kto zapewni, że te filtry, które instaluje się na spalarniach są naprawdę bezpieczne? Pani Wada pyta: – Co się stanie kiedy filtr się zepsuje? Czy filtr zatrzymuje gazy? Podobno rządowe pomiary nie wykryją cezu radioaktywnego, dlatego w rubryce cez-137 napisano „nie wykryto”, czy to prawda? Czemu nie pozwalają obywatelom zrobić niezależnych pomiarów? Czemu nikt nie pyta mieszkańców o zdanie? Czy nie grozi nam powtórne skażenie? Czy nie widzicie jak cała ta sytuacja jest dla nas stresująca? A my mamy już naprawdę dość!

KTO JEST ZA TO WSZYSTKO ODPOWIEDZIALNY?

11 czerwca 2012, ponad rok po wybuchu w elektrowni, w Biurze Prokuratury Okręgowej w Tokio złożono zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Żądano pociągnięcia do odpowiedzialności karnej 33 osób – zarząd TEPCO i urzędników państwowych. Oskarżano ich o zaniedbanie prowadzące do śmierci lub urazów, a także o brak odpowiedniej reakcji podczas wydarzeń z marca 2011 roku.

„Od czasu nuklearnego incydentu nasze zwyczajne lecz szczęśliwe życia zostały zrujnowane, a nasze prawa człowieka pogwałcone. Zjednoczeni doświadczeniem łączymy siły, żeby razem wyrazić naszą złość”.

Doniesienie podpisały 1342 osoby.

Jedną z osób, które zorganizowały tę akcję jest Ruiko Muto, kobieta, która już od czasów Czarnobyla wypowiada się przeciwko elektrowniom jądrowym. Urodzona w 1953 roku jak sama mówi, żyła w cieniu nuklearnych testów. Dziesięć lat po Czarnobylu Muto uznała, że sam aktywizm nie wystarczy. Powinna zmienić także swój styl życia. Kupiła ziemię w dębowym lesie w prefekturze Fukushima. Na zboczu wzgórza sama wykopała tarasy, na których zbudowała drewnianą chatkę i założyła ogród. Zamontowała panele słoneczne – kiedy brakowało jej prądu, chatkę ogrzewała drewnem. Otworzyła w niej organiczną kafejkę, która wielu służyła za dom spotkań. W kraju, w którym atom to 30 procent całej energii Muto uniezależniła się od niego całkowicie.

26 marca 2011, czterdzieści lat po uruchomieniu pierwszego reaktora w Fukushimie Daiichi, Muto planowała rozpocząć roczną akcję na rzecz zlikwidowania wszystkich elektrowni jądrowych w Japonii. Ale 15 dni wcześniej tsunami uszkodziło reaktory w nadmorskiej elektrowni. Pani Muto porzuciła swoją górską chatkę – choć nie leżała w obrębie 20 kilometrów od zepsutej elektrowni, to dębowe lasy naokoło chatki zostały skażone.

Muto zaczęła działać w organizacji zbierającej podpisy pod doniesieniem do prokuratury. W listopadzie 2012 roku złożono kolejne papiery do biura prokuratora. Z 13,262 podpisami z całej Japonii. Skażenie przecież nie zostało zatrzymane w granicach jednej prefektury. Ani tym bardziej strach przed nim.

Muto zebrała siedem tysięcy oświadczeń spisanych przez mieszkańców prefektury Fukushima. Dzielą się tym, jak wydarzenia z marca 2011 roku wpłynęły na ich życie. Wszystkie oświadczenia dostarczono prokuraturze. Pięćdziesiąt z nich wydano w książce („Do you still say „No Criminal Charges!” Statements by 50 Members of The Complaints for Criminal Prosecution of the Fukushima Nuclear Disaster”). Są w niej świadectwa i siedmiolatka i sześćdziesięciodwulatka. Katastrofa dotknęła każdego – bez względu na wiek, płeć i wyznanie. Zatoczyła szersze kręgi niż tylko ten wyznaczony promieniem 20 kilometrów od elektrowni.

Prokurator dwa razy odmawiał wszczęcia śledztwa. Ale w zeszłym roku niezależny panel złożony z jedenastu mieszkańców Fukushimy, który może wpłynąć na decyzje prokuratury, zdecydował, że trzech członków zarządu TEPCO – Tsunehisa Katsumata, Ichiro Takekuro i Sake Muto – powinno zostać oskarżonych o zaniedbanie, które przyczyniło się do śmierci 44 pacjentów szpitali ewakuowanych z powodu awarii w Fukushimie Daiichi i zranienia pracowników próbujących ustabilizować temperaturę w reaktorach. 29 lutego 2016 przedstawiono im akt oskarżenia. Proces karny jeszcze się nie zaczął.

Do dzisiaj nikt nie wziął odpowiedzialności za to, co stało się w Fukushimie Daiichi.

KTO BĘDZIE O TYM PAMIĘTAŁ?

Dom Kenty Satō stoi na wzgórzu w Iitate. Otacza go las. Przed domem ogród. Kwitną żonkile. Na tyłach domu niewielkie poletko z piasku. Kiedyś to był przydomowy warzywniak – pomidory,

brokuły, dynie, ziemniaki, cebule. Niedawno skażona ziemia została oczyszczona. Zdjęto pięć centymetrów wierzchniej warstwy i schowano do czarnych toreb. Naniesiono nową ziemię – zwykły piach zabrany ze szczytu pobliskiej góry. Góra – kiedyś zalesiona – teraz przypomina plac budowy. Przeorane zbocza. Krwawiące rany. Kenta wystukuje w telefonie: Jeden. Fukushima Daiichi – skażenie środowiska. Dwa. Oczyszczanie skażenia – niszczenie środowiska. Patrzy na mnie i pyta „wakaru?”, rozumiesz? Żeby wyczyścić skażenie niszczy się środowisko.

Kiedy zostajemy bez tłumacza, Kenta musi improwizować – opowiada historie całym ciałem, twarzą całą, macha rękami, śmieje się, krzywi, gestykułuje jak prawdziwy Włoch, a nie jak Japończyk. Nauczył się najważniejszych słów: promieniowanie, odkażanie, ewakuacja, kompensacja, energia atomowa, radioaktywne odpady, czarne worki, odpowiedzialność, pieprzyć TEPCO, badanie, eksperyment, środowisko, zniszczyć, tymczasowy, rząd, firma, body check, Czarnobyl, wszystko w porządku, ofiara. Kenta, czujesz się ofiarą? Patrzy na ekran telefonu. Nic nie mówi. Tylko kiwa głową.

Ze wszystkich historii o ewakuacji ta porusza mnie najbardziej. Iitate leży 40 kilometrów od zepsutej elektrowni, która nigdy nie była obecna w życiu mieszkańców. Mężczyźni nie zatrudniali się tam do pracy, przedstawiciele TEPCO nie przychodzili z pogadankami o promieniowaniu do szkół. Energia jądrowa, skażenie, promieniowanie, bekerele, mikrosiwerty – to tutaj nikogo nie interesowało. Za daleko. Nawet kiedy wybuchły reaktory, ludzie z Iitate czuli się bezpieczni. To do nich przyjeżdżali pierwsi ewakuowani. Ale 15go marca wiatr zmienił kierunek i zamiast nad morze zaczął wiać na północny-zachód. W stronę Iitate. Gdyby nad ranem mieszkańcy zbadali otaczający ich domy śnieg odkryliby, że promieniowanie jest równe temu w środku budynków reaktorów, do których pracownicy wchodzą w ochronnych skafandrach. Ale tutaj nikt nie miał liczników Geigera. Samorząd uspokajał – wszystko jest w porządku. Ludzie odgarniali łopatami śnieg i pili wodę z kranu. Po kilku dniach

nadeszły pierwsze zakazy: nie wolno jeść liści musztardowca, nie wolno pić mleka od krów ani karnówki. Choć wolno w niej myć naczynia i się kąpać. Okna lepiej trzymać zamknięte, nie wychodzić na zewnątrz bez potrzeby, a jeśli już to w masce. Wszystko jest w porządku, nie trzeba się ewakuować. Niektórzy wyjechali na własne życzenie. Wrócili 1 kwietnia – kiedy w Japonii zaczyna się rok szkolny.

To Kenta informował o tym, co dzieje się w Iitate. Umieszczał na Facebooku i na Twitterze zdjęcia licznika Geigera i swojego ogrodu, domu, psów, warsztatu. Pytał, czy to jest w porządku? Sam o promieniowaniu nic nie wiedział. Uczył się na bieżąco. 22 kwietnia rząd wydał nakaz całkowitej ewakuacji Iitate.

Dlaczego Iitate nie ewakuowano przez ponad miesiąc od wybuchów? Nie chciano budzić paniki. Bo o tym, że nad Iitate idzie radioaktywna chmura informował system ostrzegawczy SPEEDI. Później rządowi przedstawiciele tłumaczyli, że oni o SPEEDI po prostu nie wiedzieli. A obsługujący go ludzie twierdzili, że nie był wiarygodny, bo niektóre czujniki uszkodziło trzęsienie ziemi. Jeden z miejscowych polityków skwitował to tak: niektórzy myślą, że wiatr jest potrzebny tylko do golfa.

Kenta do Iitate już nie wróci. Uważa, że ignorancja wcale nie jest błogosławieństwem. Zapłacili za nią ogromną cenę. Dlatego buduje muzeum. Przedstawi w nim historię trzęsienia ziemi, tsunami i awarii w elektrowni jądrowej. Liczy na to, że kiedy ludzie zdobędą widzę o elektrowniach jądrowych taka katastrofa już nigdy więcej się nie powtórzy.

Autorstwo: Katarzyna Boni

Źródło: MediumPubliczne.pl

Tekst dofinansowała Fundacja Towarzystwa Dziennikarskiego „Fundusz Mediów”

PRZYPIS

[1] Relacja Pani Ito pochodzi z książki „Do you still say „No

Criminal Charges!" Satatements by 50 Members of The Complaints for Criminal Prosecution of the Fukushima Nuclear Disaster", opublikowanej przez Kin'yōbi, Inc w 2013 roku.